



Hanna Zawistowska-Nowińska

część I z II

Sygnatura notacji: **N0647**

Data urodzenia: **22.10.1923r.**

Data nagrania: **26.11.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Kraków, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hanna Zawistowska-Nowińska: Hanna Zawistowska-Nowińska, pseudonim „Zerwicz”. Urodziłam się w 1923 roku 22 października. Urodziłam się w Szpitalu Ujazdowskim. Ojciec wtedy mamę zawiózł do szpitala i spieszył się bardzo do Rembertowa, bo tam służbowo gdzieś miał jakieś sprawy ważne. Otwierając walizkę, złamał kluczyk. I cała bieda była, bo wtedy trzeba było do szpitala przyjeżdżać z przyszłym dzieckiem i z całym opakowaniem, z pieluszkami, ze wszystkim. Musiały matki sobie to przywieźć. I mama miała to w walizce, ale niestety nie mogła tej walizki otworzyć, bo kluczyk się złamał, ojciec się spieszył i mówi: „No to Ci tu ktoś, jakiś ślusarz otworzy, pa pa”, pojechał. A mama została z tą walizką, której nie można było otworzyć. Rezultat był taki, że ja się zaczęłam szybko rodzić i zawinęli mnie w wojskowy koc. Po tym kocu wojskowym, który prawdopodobnie nie był czysty, dostałam jakiejś szalonej wysypki i mama, i ja, obie byłyśmy całe w strupach. Przyjechała taka przyjaciółka rodziny, pani Brochwicz-Lewińska, z tatą, żeby mnie odwiedzić. I tata mówi: „Popatrz, jaka śliczna”. Ona mówi: „Taka śliczna w strupach”. Więc to zawsze mi przypomina, jak panią Lewińską spotkałam, to potem mi mówiła, że byłam wtedy w strupach cała, a tata mówi, że śliczna dziewczynka. No więc to tak się skończyło. Potem jakoś doszliśmy z mamą do zdrowia i wszystko było w porządku. No ale to był taki właśnie moment moich narodzin dosyć nieprzyjemny. Bardzo szybko, bo w 1924 roku, zaproponowali ojcu wyjazd na Wołyń do Ostroga, do 19. Pułku Ułanów. Tam już rodzice zabrali mnie i brata i tam mieszkaliśmy całe 16 lat, do wybuchu wojny. Ostróg wspominam sobie wspaniale. Dla mnie to były najpiękniejsze lata. Wszyscy ludzie jacyś tacy bardzo byli przyjaźni. Nawet jak zaczęłam chodzić do szkoły, to nieważne było, czy to był Ukrainiec, czy to był Rosjanin, czy Żyd, czy Czech, czy Niemiec, bo było też sporo takiej ludności, wszyscyśmy się ze sobą bawili, przyjaźnili i w ogóle nie było żadnych jakichś różnic. Dopiero gdzieś tam w okolicy 1 maja słychać było, że gdzieś tam na wsi jakieś są awantury, jakieś historie polityczne, ale to do mnie nie docierało i do nas też.

W Ostrogu było bardzo przyjemnie, mieszkaliśmy na terenie pułku, bo pułkownik Lewiński był z zawodu architektem i wybudował bardzo piękny pawilon dla rodzin oficerów. I myśmy mieszkali bardzo ładnie, w ładnym mieszkaniu. Tak, pułkownik Brochwicz-Lewiński był z zawodu architektem. Wybudował zresztą dworzec we Lwowie i tam jakiś piękny budynek, ale to nieważne. W Ostrogu był taki zwyczaj, że jak była niedziela, to oficerowie prowadzili wojsko do kościoła, ale katolików do kościoła, prawosławnych do cerkwi. I Żydzi szli też do swojej synagogi. I zawsze szli sobie takimi grupami, ja to pamiętam, bo nawet takie zdjęcia były, jak oni maszerują. W Ostrogu było ślicznie, bo był bardzo ładnie położony pułk. Na terenie pułku był też ładny park, także myśmy jako dzieci mieli teren do zabawy wspaniały. Co sobota orkiestra miała koncert w takiej dużej altanie. No więc to też było bardzo sympatyczne.

Artur Kłus: A jak rodziców Pani wspomina?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Rodziców wspominam bardzo dobrze. Mama zawsze twierdziła, że tata mnie rozpuszcza, bo tata mi na wszystko pozwalał, a mama trochę mnie ćwiczyła. Uważała, że ja muszę trochę dyscypliny mieć. Brat z kolei był zakochany w koniu, którego dostał od ojca. Ojciec kupił mu na jakiejś wyprzedaży. I ten koń sobie stał w stajni, w karabinach maszynowych, zawsze tak z brzegu. I Jurek tam biegał codziennie do tego konia. Ajajaj. I przynosił mu smakołyki, jakieś marchewki, coś tam. Siadał pod koniem i mówił: „Widzisz, jak on mnie kocha?”. Ja mówię: „Dobrze, ale jak go mucha ugryzie i on uderzy nogą, to ty dostaniesz w zęby”. „Nie, on mi nigdy nie zrobi krzywdy”. Także Jurek wierzył, że koń jego kocha i on kocha konia, w ogóle nie ma mowy. Jak już dorósł, większy był, był w harcerstwie, a potem już jak był duży, to ojciec go zabierał ze sobą na manewry. Tak że Jurek brał jakiegoś kolegę, swojego przyjaciela i z nim razem jechał na manewry, z pułkiem razem. Bardzo byli dumni i szczęśliwi z tego powodu. W takich wolnych chwilach to lekcje odrabiali razem. Jurek z kolegą Ukraińcem i z Żydem. Żyd matematykę i fizykę wspaniale umiał, więc doskonale sobie radzili wszyscy. Ukraińiec Żenka z kolei był doskonałym znawcą języków. On języki łapał po prostu szybko bardzo. No a wtedy myśmy mieli jeszcze łacinę, więc to trzeba było dobrze opanować. On to szybko złapał i wobec tego pomagał kolegom. A Jurek z kolei historię, literaturę. I tak się trzej spotykali. I tak się wspomagali. A jak ja miałam iść na małą maturę, jak już byłam po trzech klasach szkoły podstawowej i szłam do czwartej, to Jurek mówi, że trzeba koniecznie, żeby ciebie Żenka uczył łaciny, bo będziesz musiała się uczyć, a łacinnik jest bardzo ostry i będą duże trudności. No więc Żenka mnie uczył tej łaciny i rzeczywiście ja sobie doskonale radziłam w szkole, a mieliśmy bardzo ostrego nauczyciela. Ale trzeba powiedzieć, że w Ostrogu było seminarium nauczycielskie, dawne seminarium jezuickie. I w tym seminarium uczyli się studenci. Przy seminarium była szkoła podstawowa, tak zwana ćwiczeniówka, i myśmy chodzili do tej ćwiczeniówki. Tak że poziom był bardzo dobry, wysoki, nauka stała wysoko. Ja sobie dobrze Ostrog wspominałam, bo harcerstwo działało świetnie. I żeńskie, i męskie. Jeździliśmy na różne obozy, tak że było bardzo przyjemnie. Ja byłam na Przełęczu Tatarskiej zimą, na takim obozie narciarskim. To było wspaniale. Ja sobie do dziś przypominam, jak przyjechałyśmy na taką łączkę i na środku tej łączki stał świerk. I straż graniczna, bo tam była granica niedaleko, chciała nam zrobić przyjemność i pozapalali świeczki. Wtedy świeczki były na takich sprężynowych zapieczęciach. Poukładali te świeczki na drzewie, zapalili. Myśmy tańczyły wkoło tego świerka. Żołnierze z nami też hasali. Bardzo było miło i wesoło. Nasz instruktor od narciarstwa, bo miałyśmy instruktora od narciarstwa, jeździł z nami po górach, po różnych górach, w dół i w dal. Doskonale nas uczył. Wtedy narty były nie takie jak obecnie, nie miały żadnych metalowych tych. Trzeba było chrystianie i inne figury umieć, żeby sobie poradzić. Tak że bardzo ładnie nas uczył i myśmy sobie tam jeździły po tych górach świetnie.

Artur Kłus: W tym czasie, jak Pani tam była, to tata był dowódcą 19. Pułku?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Tata był najpierw oficerem w szwadronie, potem był zastępcą dowódcy, stopniowo coraz dalej, aż wreszcie został dowódcą pułku. Bo po roku Brochwicz-Lewiński wyjechał do Warszawy i w ministerstwie działał, a został pułkownik Piotraszewski. Wielki miłośnik koni, hodowca koni i pamięć miał fantastyczną, on pamiętał doskonale życiorysy swoich koni. Prowadził jakąś tam, zdaje się, nie wiem, jak się to nazywa, jakąś taką stację końską, hodowlę koni. I on doskonale pamiętał, jak się który koń nazywa, jaka jego mama, jaki tata. Wszystko to doskonale znał. Jeździł na zawody kawalerskie także. Zresztą nie tylko pułkownik Piotraszewski, ale tam kilku oficerów z Ostroga też brało udział w zawodach i dosyć dobre miejsca mieli w tych zawodach międzynarodowych jeździeckich. Więc potem opowiadania były, to było bardzo przyjemne posłuchać, dowiedzieć się, jak to było. Myśmy się bawili różnie jako dzieci, wszędzie się dzieci wciskają, i w parku, i na ujeżdżalni, gdzie tylko się dało. Ale muszę powiedzieć, że w Ostrogu taka była przyjemna atmosfera. Wojsko jakoś miało dobry kontakt z władzami cywilnymi, z burmistrzem, z innymi władzami, tak że to było bardzo sympatyczne. Poza tym nasi profesorowie i nauczyciele bardzo mieli dobry jakiś stosunek do dzieci. Ja sobie wspominam tych nauczycieli jak wujka, jak ciocię, nie jako jakąś taką władza. Owszem, dyrektora troszkęśmy się bali, bo on czasami krytykował, jak człowiek czegoś tam nie umiał, a coś powiedział nie tak, no to on potrafił tak powiedzieć, że trochę w pięty szło, no tam. „Właził na gruszkę, siał pietruszkę, jaka smaczna cebula”, tam ci powiedział, to troszkę było nieprzyjemnie. Ale tak poza tym to muszę powiedzieć, że było bardzo miło i sympatycznie. Dyrektor seminarium i tej naszej szkoły był bardzo muzykalny. I zawsze raz w miesiącu przyjeżdżali przedstawiciele różnych studiów muzycznych, jakieś były uroczystości, jakieś koncerty. Ormus wtedy działał, taka organizacja. Tak że oni przyjeżdżali i bardzo sobie chwalili, bo dyrektor dla przedstawicieli tych muzyków miał zawsze wspaniałe pomieszczenia, mile ich przywitał i zawsze ich tam przyjmowali bardzo dobrze. Pamiętam, że Sztompka był. I już nie wiem, jacy tam znani wtedy i śpiewacy, i muzycy przyjeżdżali do Ostroga.

Artur Kłus: Mówi Pani, że między Polakami, Ukraińcami, Żydami jaka była relacja?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Bardzo dobra. W mieście była bardzo dobra.

Artur Kłus: A było jakieś przecucie, że za kilka miesięcy...?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Przed samym, gdzieś w 1937 roku już zaczęło się tak, że myśmy czuli, że będzie wojna. Już takie były nieprzyjemne... W radiu się słyszało różne takie rzeczy, że już czuliśmy, że coś tam pachnie wojną. A w 1938 to już zupełnie było nieprzyjemnie, bo to już się czuło bardzo. Pułk wyjechał wtedy razem zresztą z pułkiem z Równego, bo to cała brygada wołyńska wyjechała, tak, że to już myśmy czuli, że to już jest nie tak. A wielka przykrość nas spotkała, przynajmniej naszą rodzinę, bo w 1938 roku raptem przenieśli ojca w stan spoczynku. Tu wojna, a tu raptem ojciec idzie w stan spoczynku. Wcale nie był już stary. Był z 1890 roku, więc miał... To było straszne. Dla ojca to było ogromne. Nic w domu nie mówił, ale widziałam po jego twarzy, po jego minie i w ogóle po tym nastroju w domu, bo mama też to przeżywała bardzo, rodzice się bardzo kochali i bardzo byli dla siebie przyjaźni. I wiem, że to był po prostu jakiś... Kilku oficerów też zostało z Ostroga przeniesionych gdzieś do artylerii. Więc takie ruchy, jak wojna już tu wisi i słysząc w radiu różne takie rzeczy, i tu raptem dowiadujemy się o takich zmianach w wojsku, to dla nas to było przerażające,

wszyscyśmy byli oburzeni. Jak można robić takie zmiany w wojsku, jak już wojna? Mało z tym. 16 września już wiemy na pewno, że wojna jest, myśmy opuścili Ostróg, bo ojciec przeszedł w stan spoczynku, przyszedł pułkownik Pętkowski na jego miejsce, nieznający zupełnie terenu ani ludzi. No bardzo dobry, bardzo wspaniały człowiek, ale przecież nie można kogoś w takim momencie przerzucać i dawać mu takie zajęcie. To było dla nas, to było, ja jako dziecko pamiętam, że ja to przeżywałam okropnie. Myśmy się przenieśli do Włodzimierza, bo ojciec tam we Włodzimierzu zakupił dom i ziemię, taką działkę, bo tam byli, jakby to nazwać, emeryci wojskowi, którzy mieli tam swoje działki. I to byli kawalerzyści, przyjaciele, znajomi. Więc ojciec uważał, że dobrze by było tam z nimi razem być. Pułkownik Lewiński też miał pod Włodzimierzem działkę. Ale dom był niewykończony. Co ojciec jakichś robotników najął do pracy, to musiał ich zwalniać, bo wtedy był obowiązek służby wojskowej po 20 latach. Wszystkich mężczyzn brali przymusowo do wojska, a tu wojna była, więc oni dostawali wezwanie i musieli rzucić pracę i iść do wojska. I co kogoś ojciec wziął z robotników, to oni musieli, więc już nie można było nic robić. I 16 września przejeżdżał Lewiński z Marszałkiem Rydzem-Śmigłym przez Włodzimierz. I marszałek zaprosił ojca na spotkanie. Ojciec poszedł tam i Marszałek zaproponował, żeby ojciec razem z Lewińskim i z nim szedł na Rumunię. A ojciec spytał, czy to rozkaz, czy propozycja. Marszałek powiedział, że propozycja, bo ojciec był na emeryturze, tak? Więc już nie miał, nie musiał rozkazów przyjmować. Ojciec mówi, że nie, że nie pojedzie na Rumunię i na Zachód, bo uważa, że nam, legionistom, nic innego nie zostało, tylko bronić jeszcze wschodnich terenów i zostawić swoje kości. Tak powiedział, „zostawić swoje kości”. Więc to było dosyć ostro powiedziane. No więc marszałek odjechał, a ojciec został i wszedł w kontakt z generałem Smorawińskim, który pozwolił mu zorganizować ochotniczy oddział. Ponieważ wtedy z Warszawy prosili, żeby mężczyźni wyjeżdżali na Wschód, więc bardzo dużo było młodziarzy, młodych ludzi. Rodzinę też mieliśmy, ja miałam kilku wujów, którzy zostawili Warszawę i przyjechali właśnie na Włodzimierz. No i zgłosili się do tego oddziału mojego ojca. Jurek też się zgłosił do ojca. No i oni wyjechali do Buska, wyjechali potem tam, pod Buskiem walczyli. A myśmy zostały same z mamą. Do nas przyjechała znowu pani Lewińska, która była na działce z dziećmi. Nie chciała być sama, wolała przyjechać do nas. Przyjechała ciotka z Warszawy z dzieckiem, jeszcze tam druga kuzynka, jednym słowem, cały dom był zajęty. Wynajęliśmy taką chałupę, bo w tym domu nie można było mieszkać, on był jeszcze niewykończony. Taką parterową chałupę i w tej chałupie mieszkaliśmy wszyscy, cała ta liczna rodzina, a tu raptem podjeżdża działo, nasze. I mówią, że musimy opuścić ten teren, bo tutaj będzie placówka. Bo to było nad rzeką Ługą. No i wobec tego nie było nic innego do roboty, tylko wszyscyśmy musieli zostawić to, co tam było, i uciekać wobec tego tam na działkę, gdzie dom był niewykończony. Akurat panie zrobiły obiad, na stolnicy kotlety położyły, jeszcze tylko trzeba było na patelnię. Tu zupa była gotowa, ale to wszystko zostawiły, bo jak wojna, to wojna. Myśmy tam pojechały, a tutaj taki ruch, Boże święty, bo po przeciwnej stronie rzeki tam właśnie byli Niemcy. Strzały stamtąd, tu do nas. No jednym słowem, trzeba było się kłaść na ziemię i chować się gdzieś tam pod kapustę, gdzieś tam pod jakieś tam różne rośliny, żeby nie było widać. Takeśmy takie dwa dni ciężkie przeżyli. I potem się uspokoiło. Nasi panowie dali nam znać, że oni teraz zmieniają miejsce, przesuwają się gdzieś z tym działem, że możemy wrócić do domu. Ja wracam pierwsza, bo zawsze dzieci szybko gonią, patrzę przez okno, bo okno takie, niski parter, że widać, patrzę, że rzeczywiście jedzenie leży na stolnicy, tak jak zostawiły panie. I ja pytam tu żołnierza: „Dlaczegoście nie zjedli?”. „A mieliśmy to czas się kłócić?”. „A z kim?”. Aha, nasz piesek siedział z drugiej strony. Topuś siedział, wyżeł. I nikogo nie wpuszczał. On po prostu z drugiej strony stołu stał i warczał. I oni wobec tego, a oni nie mieli czasu się bawić z psem przecież. Więc żaden z nich nic nie zjadł, nie spróbował wejść. A pies przez te dwa dni w ogóle nie wyszedł z domu. Siedział cały czas. Więc i on przeżywał. [śmiech] Taki był moment śmieszny. Tak że Topuś też przeżył wojnę. Potem już towarzystwo się rozjechało. I myśmy z mamą zaczęły szybko pakować, co tylko się dało.

A ja stałam przy piecu i paliłam wszystkie dokumenty ojca. Jakieś pamiątkowe zdjęcia, różne rzeczy po ojcu, tyle było przecież z Legionów i z POW. Wszystkośmy to musiały palić, bośmy się bały, że wyjedziemy na Wschód. Dostałyśmy wiadomość od brata zza Bugu, że tata nie żyje, zginął 20 września. On czeka na nas za Bugiem i prosi koniecznie mamę, żeby wszystko zostawiła i przeszła do Guberni i do Warszawy, do babci. Mama nie chciała wierzyć, że taty nie ma. „Ale to na pewno tylko opowiadania, a Dyziek się będzie ukrywał, a on się przebierze za staruszka i przyjdzie kiedyś do nas”. Mama sobie wyobrażała, że ojciec żyje, że może być ranny, ale że na pewno przyjdzie. Nie chciała wierzyć i nie chciała wracać. No ale wuj, taki starszy, który nie poszedł do tego Legionu, mówi: „Leosiu, zostaw wszystko i uciekaj do Warszawy, bo za chwilę i ty nie będziesz mogła”. No i wreszcie matka się zgodziła. I ruszyliśmy. Akurat dowiedzieliśmy się, że otworzyli granicę, wobec tego pojechaliśmy na granicę, na Bug. Tam był tłum ludzi niesamowity. Ludzie się pchali, tragarze brali walizki, że pomogą, a potem bęc, rzucali z brzegu, bo Bug ma takie wysokie brzegi. Tam na dole już koleś czekał i co trzeba, to tam sobie zabierali, jednym słowem, było bardzo trudno. Ja zabrałam dzieciaki takie małe szybko za ręce i każdemu dałam po jakiejś tam teczce czy jakiejś paczce i przeszliśmy szybko, a starsi tam się jeszcze kotłowali. I w pewnym momencie taki chłopczyk, Niusiek, mówi: „Mama jest z tamtej strony, a ja tutaj i mamy nie chcę puścić. Ja nie będę tutaj”. I zostawił wszystko, poleciał do matki z powrotem. Trudno, nie będę za nim biegać. Sytuacje były takie, zamknęli granicę, koniec. Ani w tę, ani w tamtą. My tu jesteśmy, a tam dorośli. Ale Jurek się pokazał i mówi: „Haniu, zostań tutaj”. A do Niemca mówi: „Obiecałeś, że pomożesz mi matkę zabrać”. Widocznie go tam w jakiś sposób zachęcił. No i ten Niemiec idzie z Jurkiem przez ten most, żeby wytłumaczyć Ruskowi, żeby mamę puścić. A Rusek z bronią tak do nich. Jezus Maria, ja myślałam, że za chwilę już będzie po mamie, ale nie. Nie strzelił, jakoś sobie dał wytłumaczyć i pozwolił mamie przejść. Nikomu nie wolno przechodzić przez most, pusto zupełnie, tylko mama. I ja do dzisiaj słyszę te kroki mojej mamy, jak idzie po tym moście drewnianym do nas. To był moment bardzo mocny.

Artur Kłus: Co miała ze sobą mama?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Mama miała tylko laseczkę Marszałka Piłsudskiego, który w 1924 roku przejeżdżał ze Lwowa przez Ostróg do Łucka. Tam miał być zjazd legionistów, ale zatrzymał się w Ostrogu, bo wręczał sztandar pułkowi. Była wielka uroczystość. I nocował jednego dnia u Lewińskich, drugiego dnia u Zawistowskich, u rodziców. I u rodziców zostawił laseczkę, a u Lewińskich zostawił klapki, takie pantofle. I zawsze Lewiński mówił: „Dyziu, może się zamienimy?”. Ojciec mówił: „Nie mogę, bo to Marszałek u mnie zostawił, no nie mogę pogardzić”. Lewińskiemu było przykro, że on ma kapcie, a nie laseczkę. No i mama z tą laseczką przeszła przez granicę i ta laseczka była w domu pielęgnowana całą okupację, no ale potem się spalił dom i spaliło się wszystko. I spaliła się laseczka. Niestety.

Artur Kłus: Jak ta podróż za Bugiem wyglądała?

Hanna Zawistowska-Nowińska: No myśmy, na nas czekał już wuj i Jurek samochodem. Wuj tam jakieś, nie wiem, jakieś butelki komuś tam coś woził, nie wiem, coś tam wymyślili. Jakiś samochód mieli i nas zabrali. Tak że myśmy z mamą się zabrały, Jurek i druga ciotka z córeczką, i wuj. I tak pojechaliśmy. Po drodze jeszcze gdzieś się zatrzymywaliśmy, już nie pamiętam, w Chełmie czy gdzieś i do Warszawy. Przyjechaliśmy do Warszawy wieczorem, babcia już leżała w łóżku i mówi: „Do czegoście przyjechali? Taka ruina”. Rzeczywiście okna wszystkie były powybijane po tych działaniach wojennych i nie było szyb.

Artur Kłus: To jest listopad, tak?

Hanna Zawistowska-Nowińska: 11 listopada, dokładnie 11 listopada. Dlatego prawdopodobnie granice zamknęły, że się bali, że może będą Polacy robić jakiś ruch. Ale komu przyszło do głowy robić ruch? Nie było komu w takim momencie. Myśmy przyjechały do babci, babcia mówi: „No do czegoście przyjechali, taka ruina”. No ale myśmy z Jurkiem zaraz jakąś tam dyktę, jakąś tekturę wyszukali i pozatykaliśmy te okna. Jurek jeszcze laubzegą powycinał takie otworki, z obrazków zabrał szybki i takie zrobiło się otworki na pierwsze, na początek. No i tak mieszkaliśmy u babci całą okupację. Ja chciałam pójść do szkoły, do czwartej klasy, ale mnie nie przyjęli, powiedzieli, że już się rok szkolny zaczął, że jak sobie poradzę i sama się nauczę, i zdam, to mi zaliczą czwartą klasę. No bo na szczęście kuzynka moja, która obroniła magisterium, a nigdzie nie pracowała, wzięła mnie pod opiekę i uczyła mnie. Akurat tak się dobrze złożyło, że wujostwo mieszkali na Krakowskim Przedmieściu na początku, więc tylko przez plac Zamkowy i Świętojańską trzeba było przejść na rynek. Więc sobie chodziłam do tej Lilii i uczyłam się.

Artur Kłus: Babcia mieszkała pod jakim adresem?

Hanna Zawistowska-Nowińska: Babcia mieszkała Stare Miasto 18, a oni mieszkali, nie pamiętam, 65 czy coś, Krakowskie Przedmieście. No więc tak było blisko. Jak zdałam ten egzamin, to mnie przyjęli do liceum, ale Niemcy wtedy nie pozwolili na licea ogólnokształcące, tylko musiały być licea zawodowe. No więc nasza szkoła była handlowa. Ale to było bardzo dobre, bo profesorowie z wyższych uczelni zostali zatrudnieni, bo chodziło o to, żeby tym ludziom dać pracę przecież, każdy musiał mieć jakąś legitymację, a poza tym z czegoś musiał żyć. Nie było wyższych studiów, wobec tego na bardzo wysokim poziomie była ta szkoła, ale myśmy sobie to lekceważyły. Co nam tam handlówka, my musimy mieć ogólnokształcący. Nawet jakaś koleżanka na lekcjach kiedyś robiła sweter na drutach. I drut upadł, a jak upadnie, to taki ładny dźwięk, prawda, jest. Profesor to usłyszał i mówi: „No bardzo panią przepraszam. Jak panią to nie interesuje, to nikt nie powiedział, że musi pani wysłuchiwać tego, co ja mówię. Proszę bardzo”. No ale, no co, nauczyłyśmy się stenografii, pisania na maszynie, matematyki. To tak były lekcje normalne od rana do południa, ale po południu to nas podzielili na grupy i po jakiejś sześć, dziesięć osób chodziłyśmy do różnych prywatnych mieszkań i tam już były lekcje te nasze, które nas interesowały. To znaczy to były komplety liceum ogólnokształcącego. To było też dla mnie przeżycie ogromne, bo jak ja nikogo nie znałam, poszłam do nowego gimnazjum zupełnie, więc wszyscy ludzie już dla mnie byli obcy. Jeszcze w związku z tymi kompletami, a nie, najpierw jeszcze żebym musiała zaliczyć te cztery klasy, które miałam sobie samodzielnie zrobić, to musiałam potem chodzić do profesorów na egzamin. No i tak to wyglądało, że dostałam bilecik z adresem, szłam gdzieś tam pod jakiś numer, stukałam, dzwoniłam, ktoś tam otwierał drzwi, ja wchodziłam i pytałam, czy taka osoba jest, no i mówię, że przyszłam na egzamin. No to pierwszy taki moment to był, taka pani mnie przyjęła, mówi: „A, dobrze, dziecko, to wejdziesz tu do gabinetu, masz wieczne pióro?”. „Mam”. „A papier jakiś masz?” „Nie mam”. „Aha, no to tam leży, masz tam pytania i rozwiąż te zadania”. A sama poszła do kuchni i gotowała. Okazuje się, że ta nauczycielka korzystała z tego, że ja mam przyjść, to ona w międzyczasie obiad ugotuje rodzinie. A ja siedzę w tym gabinecie sama jedna, coś tam napisałam, coś tam wyliczyłam, ale nie wiedziałam, czy dobrze, czy źle. Ona mówi: „Zostaw to wszystko, do widzenia”. „Do widzenia”. Nie wiedziałam, czy dobrze, czy źle, szłam znowu pod inny adres, znowu gdzieś tam niemiecki, to znowu coś tam. To było dla mnie

jednak takie przeżycie. Nie było to przyjemne, bo tak ludzi nie znałam i iść tam do kogoś, prawda, i to taki egzamin. Paskudne to było. To dla mnie było przykre, ale na szczęście dowiedziałam się, że zdałam, że zaliczyli, to chwala Bogu. No i potem już chodziliśmy po kilka, to już było lepiej, bo już szliśmy taką małą grupką, prawda, te sześć osób czy dziesięć, pod adres jakiś tam na te lekcje. To było po południu. Więc jak jedna nauczycielka wyszła, to trzeba było czekać na drugą. Nie zawsze tak się składało, żeby punktualnie ktoś przyszedł, prawda, zaraz już. Tylko trzeba było trochę poczekać. No to warszawianki puszczały jakiś magnetofon, tango, tańczyły. Ja tak patrzyłam, wariatki, zupełne wariatki. Wojna jest, ludzie giną, a one będą tańczyć. Ale są ludzie, którzy uważają, że to nic nie szkodzi. Warszawa wtedy jeszcze może tego tak nie przeżyła, no nie wiem, może młodzi tak tego nie przeżyli. W każdym razie mnie to okropnie denerwowało. Tak że mowy nie było, żebym ja mogła z nimi tańczyć. Patrzyłam na nie jak na wariatki. No i trudno. Potem, po roku chyba czy po dwóch, już nie pamiętam, jak tak chodziłam na te wykłady, ciotka moja, która mieszkała w Macierzyszu pod Warszawą, zaprosiła mnie do siebie, ona miała tam dom, ziemię, uprawiali tę ziemię. I ciotka chciała, żebym ja pobyła tam na świeżym powietrzu, żebym nie była w tej Warszawie. Jeszcze tam gdzieś opiekowała się inwalidami, ale to nie byli inwalidzi, tylko byli ranni oficerowie Wojska Polskiego, którzy byli już zaopatrzeni, już było wszystko im lepiej. No i tak musieli się gdzieś przytulić. No i ona oczywiście przywoziła tam i pomidory, i jakieś tam różne rzeczy, jakie na wsi rosną, no i tam gdzieś robiono im obiady i ci ludzie tam mieszkali. No i takiego marynarza zaprosiła do siebie, do Macierzysza, żeby trochę odpoczął, żeby u niej pomieszkał przez wakacje. Ja byłam takim gościem i on był gościem, jeszcze tam jakaś osoba. No i myśmy, żeby cioci pomóc, tośmy tam jakieś pomidory segregowali, to coś tam jeszcze. No tak, co można było, to się pomagało. Ja tam gdzieś pilnowałam jakiejś cebuli. Kiedyś nawet marynarz mówi: „Wiesz co, ja jestem chiromantą, mogę ci powróżyć z ręki”. „Chcesz, to wróż”. A on patrzy i mówi: „Oj, ale ty będziesz żyła długo, więcej niż 90 lat”. Sprawdziło się. „Będziesz miała troje dzieci. A, czekaj, ale jakieś dwa krzyże, ale to chyba nie zwycięskie”. No dwa krzyże to akurat brat zmarł i tata. „A, i będziesz lekarzem. Ale co to za lekarz, co nie siedzi przy stole operacyjnym? Co to będzie za lekarz? Nie wiem. Będziesz jakimś lekarzem”. Miał rację, bo ja operacji żadnych nie robiłam. No i sprawdziło się wszystko po kolei. Bardzo dużo. Ja nie wiem, że tak można sobie wyczytać z ręki. Więc to takie było śmieszne.

Artur Kłus: A jak wyglądała taka codzienność pod okupacją?

Hanna Zawistowska-Nowińska: No więc, proszę Pana, ja rano wsiadałam w tramwaj, wtedy jeszcze tramwaj jechał przez Krakowskie Przedmieście i przez Aleje do szkoły. Ze szkoły szłam na te komplety. To było przeważnie na Mokotowie, bo to w tamtej dzielnicy. I stamtąd już szłam piechotą przez Marszałkowską, bo chciałam być trochę na świeżym powietrzu, cały dzień w murach, to dla mnie, Wołynianki, to nie było takie. I szłam sobie przez Marszałkowską aż na Stare Miasto. A potem trzeba było lekcje zrobić. Siedzieliśmy wszyscy przy jednym stole u babci, mimo że duże mieszkanie, ale światła przecież nie było, nie było elektryczności. Tak że karbidówka się paliła, pachniała nie bardzo. I przy tym stole w jednym końcu babcia siedziała i grała w karty z wujkiem. Mama pracowała w sklepie, więc tam jakieś listy składało się, trzeba było coś wypełniać, więc siedziała i tam obliczała. A jak nie, to coś tam cerowała, szyła, a ja robiłam lekcje. Przy jednym stole wszystko się działo. Babcia, jak dobrze szła karta, no to ho, ho, ho, [śmiech] w dobrym była humorze, jak przegrywała, to znowu nie bardzo, ale jakoś tak siedzieliśmy wszyscy razem. No tak to wyglądało.

Artur Kłus: A jakieś święta, Boże Narodzenie?

Hanna Zawistowska-Nowińska: No jak były święta, no to wtedy, wie Pan, to jednak wujostwo przychodziło, ale to były ciężkie czasy. To już tak nie było jak przed wojną, że przychodziło do babci ze 40 osób, przy ogromnym stole, długim jak nie wiem co, siedzieli wszyscy i sobie tam rozmawiali. Na końcu dzieci. Też żeśmy się wygłupiali i było bardzo wesoło, ale to już nie były te czasy. Już tam nie wszyscy mogli chodzić, tam się ktoś ukrywał, tam znowu coś tam. To byli zajęci. Tak że już to różnie było. Po parę osób się zbierało. Kiedyś pamiętam, że przy jednym, jakoś chyba pierwszy raz, jakeśmy przyjechali, wtedy babcia poszła gdzieś do kogoś, a myśmy z mamą i z Jurkiem zostali sami. I pamiętam, że siedzieliśmy sobie przy choince. I Jurek wyciągał spod choinki prezenty. Nam nawet do głowy nie przyszło, żeby jakieś prezenty były. A tu Jurek chciał nam zrobić przyjemność. Jak dziś pamiętam, jakąś broszkę czy coś mi zrobił. I ja zamiast podziękować, to jeszcze mu mówię: „To Ci do głowy jeszcze przyszłam?”. No człowiek był okropny. Jak dziś pomyślę, to biedak tak się wysilał, chciał zastąpić nam ojca. A ja wtedy taka byłam zrozpaczona, że taty nie ma, że taki to jest czas, że nie umiałam tego mu wynagrodzić. Ale kiedyś ciotka, u ciotki, do której tam jeździłam, kuzynka wychodziła za mąż, więc po ślubie zrobili takie wesele. Dużo osób zeszło się tam, zaczęli tańczyć. Osób było dużo. Ja pamiętam, że wymknęłam się stamtąd, bo nie mogłam na to patrzeć, i poszłam do takiego przed-sionka, w którym były wieszaki. I taka duża nie skrzynia, tylko kosz, wie Pan, dawniej były takie duże kosze wiklinowe zamiast szaf, zamiast walizek, ludzie tam różne rzeczy trzymali. I na tym koszu ludzie położyli płaszcze, bo już nie było gdzie wieszać, tak było dużo osób. I ja patrzę, że tam gdzieś mi wystaje but. Jurka bucik. Ja dotykam, patrzę, Jurek. Więc Jurek też się wymknął z tego balu wspaniałego i położył się na tym koszu pod te płaszcze, i zasnął. Ja go budzę i mówię: „Co ty tu robisz?”. Mówi: „No przecież się nie będę bawił”. „To słuchaj, to może my sobie stąd pójdziemy?” „A świetnie, chodźmy”. I my z tego Macierzysza, czyli spod Włoch pod Warszawą, szliśmy piechotą przez Wolę, hen, hen, aż na Stare Miasto. Nic żeśmy nie powiedzieli cioci ani nikomu, w ogóle. Ubraliśmy się i poszliśmy. Bo co my tam możemy robić? Oni się bawią, a nam nie do zabawy. Myśmy tak strasznie przeżywali i śmierć ojca, i tę utratę domu, i to wszystko, że takie było, że człowiek się raptem znalazł nie wiadomo gdzie. Bo nawet, że u babci, że wszystko było niby dobrze, to oni to inaczej przyjmowali. Tak że poszliśmy sobie do domu. No a potem to był koniec lipca. Jurek nie chciał iść na studia, on był po maturze, ale nie chciał mamy obciążać, bo to przecież kosztą, tylko pracował w tym... Boże święty, ja już jestem nieznośna. Ta miejscowość mi uciekła.

Artur Kłus: W Ursusie?

Hanna Zawistowska-Nowińska: W Ursusie. Pracował w Ursusie, w narzędziowni. No i oczywiście założył tam jakąś grupkę młodzieżową i uczył ich tam władania bronią, przygotowywał. Kiedyś, pamiętam, nawet takich kilku chłopców zabrał, przyprowadził na Stare Miasto, nikogo wtedy w domu nie było. I mówi: „Hanka, pilnuj, żeby nikt nie wszedł”. Ja tylko słyszałam szcęk, bo nie powiedział, o co chodzi, tylko powiedział, że mam pilnować, żeby nikt nie przyszedł. No więc wiedziałam, że on jest w Armii Krajowej, ale o tym się nim mówiło, nigdy nikt się nie chwalił nikomu. A w lipcu było takie Powstanie. I on tam pojechał z tymi chłopcami, gdzieś tam był na Czerniakowie. I dostał rozkaz, że rozchodzą się, Powstania nie będzie. Jurek był oburzony. W nocy o godzinie 12 dowiadują się, że mają się rozejść. No więc Jurek był zrozpaczony, jak on tych chłopców puści teraz przez Warszawę i żeby Niemcy ich połapali, bardzo się mu to nie podobało. No na szczęście nasi wschodni przyjaciele akurat wtedy zainteresowali się

Warszawą bardziej i postraszyli Niemców, tak że Niemcy, zwłaszcza niemieckie rodziny uciekały, ale myśmy o tym nie wiedzieli. Na nasze szczęście te dzieci sobie szczęśliwie do domów wróciły, bo Niemcy byli zajęci sobą. Uciekali, bali się, że przyjdą bolszewicy i będzie wojna.

Artur Kłus: Bo w tym czasie, bo pani w 1942 roku zdała maturę i poszła do szkoły pielęgniarstwa.

Hanna Zawistowska-Nowińska: Aha, a tak, o tym nie powiedziałam. Jurek w Ursusie, a mnie namawiali, żeby iść na kursy takie pielęgniarstwa w Armii Krajowej. Ale ja stwierdziłam, po co ja mam chodzić i ukrywać się? Już wiedziałam, co to znaczą komplety. Pójdę do szkoły pielęgniarek, przynajmniej się nauczę normalnie tego, co trzeba. Zresztą tam profesorowie wykładali i ta szkoła pielęgniarek warszawska bardzo wysoko stała. Tak że ja się zapisałam do tej szkoły i chodziłam normalnie na te wykłady i na ćwiczenia w szpitalu. Bo jednocześnie też miałyśmy ćwiczenia w szpitalu. To było tak po 1942 roku. A kiedyś z mamą szłyśmy przez Krakowskie i ja nie pamiętam, bo ktoś nam powiedział, że jest szkoła Zaorskiego. I to jest właśnie medycyna, tylko to jest tajne. A to się nazywało: kursy dla personelu sanitarnego. Jurek się śmiał, mówił: „Będą cię uczyć nocniki nosić za pielęgniarzkami”. [śmiej] Bo jak pomocnica. No więc poszłam tam. Akurat profesor Zaorski był w tym gabinecie, gdzie ja weszłam. No i on mówi: „Dobrze, ale proszę pani, przecież pani kończy szkołę pielęgniarek, to po co pani się wybiera na medycynę? Przecież to jest co innego jednak, to jest nie to samo”. Ja mówię: „No ja wiem, że to nie jest to samo, i ja wcale nie mam ochoty zostać pielęgniarzką, tylko chciałabym zrobić medycynę, tylko na razie nie miałam innych możliwości”. „No to doskonale, bo właśnie teraz profesor Kapuściński ma egzamin. To może pani zaprowadzi tę panienkę?” Tam prosi taką panią. Ja się krzyżem świętym przeżegnałam, myślę sobie: Boże święty, prosto z ulicy na egzamin, i to jeszcze piśmienny? O rany! To już pewnie będzie trup, nieboszczyk ze mnie. Przerazona taka idę. A tymczasem wychodzi profesor i mówi: „Już jest po egzaminie, a tu panią mam jeszcze egzaminować? To już ustny będzie egzamin”. Mówi: „No to chodźmy”. Mówi do mnie. „No to chodźmy”.